

Wielu polityków europejskich ma na względzie interesy swoje lub swoich krajowych wyborców. Trudno jednak znaleźć takich, którzy nie tylko promowaliby „rozwiązania europejskie” ale także bronili interesu obywateli UE. Piotr Buras zarzuca na łamach „Rz” hipokryzję i egoizm środowiskom broniącym podmiotowości narodowej w procesach integracji europejskiej. Jest to w moim przekonaniu duże uproszczenie.

Można znaleźć wiele dowodów hipokryzji wśród polityków znanych z głębokiego zaangażowania w rozwój integracji. Weźmy pierwszy przykład z brzegu, czyli umowę UE z Turcją w sprawie uchodźców. Czy zachwalanie tego porozumienia nie jest co najmniej dwuznaczne w odniesieniu do promowanych przez Brukselę wartości demokratycznych i wolności prasy? W ten sposób Unia legitymizuje system władzy w Ankarze o bardzo silnych tendencjach autorytarnych. Czy nie jest hipokryzją wznowienie przy tej okazji procesu akcesyjnego Turcji, a dokładnie obietnica otwarcia kolejnego rozdziału w negocjacjach członkowskich, skoro większość unijnych polityków nie chce włączenia tego kraju do UE?

W analizie stanu integracji ([Europa w fazie dezintegracji](#)), podobnie jak w swoich tekstach akademickich, bazowałem w dużym stopniu na założeniach realistycznej szkoły teoretycznej. W tym ujęciu wszyscy aktorzy polityczni kierują się własnymi interesami, co można porównać do egoizmu w życiu społecznym. Kolejne kryzysy UE dostarczają wielu przykładów takiego egoizmu. Politycy niemieccy działali pod wpływem interesów własnych podatników, kiedy blokowali możliwości szerszej redystrybucji fiskalnej do państw pogrążonych w kryzysie strefy euro. Z kolei politycy greccy i innych krajów zgodnie ze swoimi interesami bronili się przed narzuconą im polityką oszczędności. Nie chcieli dopuścić do nadmiernych kosztów dla swoich obywateli, ale również chronili własne posady przed wzbierającą falą niezadowolenia. Także kanclerz Merkel, która przychyliła się do obrony spójności strefy euro w trakcie ciężkich negocjacji z Grecją latem ubiegłego roku kierowała się własnymi interesami. Gospodarka niemiecka korzysta najwięcej z systemu wspólnej waluty, a skutki Grexitu mogły wywołać poważne turbulencje dla podmiotów z tego kraju. Niemcy z pewnością musieliby pożegnać się przynajmniej z częścią swoich pożyczek udzielonych wcześniej Grecji.

[mc4wp_form id="84"]

Dokładnie w ten sam sposób możemy oceniać procesy polityczne w czasie kryzysu migracyjnego. Większość polityków, zarówno bardziej lub mniej przychylnych wobec integracji kieruje się własnymi interesami lub po prostu zachowuje się jak egoiści. Przykładem jest zamykanie granic przez kolejne państwa w Europie. Także Merkel –

niezależnie od swoich europejskich pobudek – ogłosiła politykę „otwartych drzwi” kierując się interesem niemieckiej gospodarki, która poszukuje taniej siły roboczej w realiach starzejącego się społeczeństwa. Skala problemów i oporu społecznego po tej decyzji zaskoczyły ją, dlatego w praktyce – choć nie w deklaracjach – zaczęła „zamykać drzwi” przed imigrantami. Jak inaczej wyjaśnić to, że w ramach lansowanego przez nią mechanizmu realokacji azylantów w UE przyjęła tylko ok. 40 uchodźców, zamiast przypadającej na Niemcy kwoty prawie 27 i pół tysiąca? Szlak bałkański zablokowała decyzja Austrii i innych państw tego regionu, a porozumienie UE z Turcją tylko przypieczętowało to zamknięcie. Nie wiemy dokładnie jaka będzie skuteczność tego porozumienia i jakie efekty uboczne. Niemniej „rozwiązanie europejskie” wynegocjowane z Ankarą pozwala Merkel korzystać ze zmniejszenia napływu imigrantów do Niemiec bez odwoływania polityki „otwartych drzwi” i przyznawania się do wcześniejszej pomyłki. Ma to niebagatelne znaczenie dla wizerunku pani kanclerz i jej interesów wyborczych.

Problem polega na tym, że o ile wielu spośród decydentów ma na względzie interesy swoje lub swoich krajowych wyborców, o tyle trudno znaleźć takich, którzy nie tylko promowaliby „rozwiązania europejskie”, ale egoistycznie bronili interesu obywateli UE. Badania wskazują na kształtowanie elit na poziomie unijnym, które są określane jako transnarodowe lub ponadnarodowe. Mogłyby w naturalny sposób bronić takich interesów. Jednak praktyka dowodzi, że raczej dystansują się od wyborców, zwłaszcza kiedy nie wykazują oni entuzjazmu dla idei europejskich. Niektórzy całkiem stracili kontakt z polityką wyborczą, która funkcjonuje przede wszystkim w ramach demokracji narodowej. Inni podchodzą do wyborców protekcjonalnie, bardziej skupiając się na ich edukowaniu, aniżeli obronie ich interesów.

Dobrym przykładem tego o czym myślę są losy europejskiej lewicy. Jej tradycyjnym odniesieniem był elektorat pracowników najemnych i warstwy uboższe. W dobie pogłębiania europejskiego rynku wewnętrznego, ale również presji UE na politykę oszczędności budżetowych i reform liberalizujących rynki pracy – partie lewicowe w coraz większym stopniu akceptowały rozwiązania liberalne w polityce gospodarczej, co najbardziej biło w ich elektorat. Dlatego szukały alternatywnych szyldów niezbędnych dla sukcesu wyborczego. Były nimi idee ekologiczne, emancypacja kobiet, obrona mniejszości społecznych, w tym imigrantów. W sytuacji kryzysu migracyjnego doprowadziło to większość polityków lewicy do żarliwej obrony praw uchodźców. Jest to wprawdzie głęboko humanitarne, a także zgodne z regulacjami UE i konwencją ONZ, ale stoi w sprzeczności z odczuciami rosnącej części ich

elektoratu. Ten bowiem, czuje się coraz bardziej zagrożony przez masową imigrację, przede wszystkim na polu ekonomicznym i socjalnym. Ludność napływowa jest konkurencją dla najuboższych i najslabiej wykształconych warstw społecznych i o miejsca pracy i o usługi socjalne, takie jak np. dostęp do służby zdrowia. Do tego dochodzi zagrożenie terrorystyczne i problemy z asymilacją przybyszów spoza Europy. To dlatego niemieccy wyborcy skandowali w czasie napływu fali imigrantów do ich ojczyzny „to my jesteśmy obywatelami”. Mieli wrażenie, że zostali po prostu zdradzeni przez elity, bardziej troszczące się o los imigrantów niż zwykłych Niemców. Trudno się dziwić, że w tej sytuacji następuje odpływ poparcia społecznego od partii głównego nurtu w kierunku ugrupowań broniących podmiotowości narodowej.

Jak się wydaje, doszliśmy obecnie do takiej sytuacji, kiedy stawką kryzysu migracyjnego jest wręcz przetrwanie integracji europejskiej jako strategicznego projektu. Politycy, w tym zwłaszcza ci najbardziej euro-entuzjastyczni muszą rozstrzygnąć, czy liczy się dla nich bardziej obrona interesów obywateli UE, a tym samym trwałość integracji, czy ochrona praw imigrantów. Należy pomagać uchodźcom, ale bez uszczerbku dla bezpieczeństwa obywateli Unii, a więc bez możliwości swobodnego i pozbawionego kontroli przemieszczania się imigrantów w UE. Od tego zależy skuteczność rozwiązywania tego kryzysu. Póki co, na tego typu decyzje potrafili zdecydować się tylko politycy na szczeblu narodowym, nawet kosztem złamania regulacji europejskich i innych praw międzynarodowych. I dlatego to co realnie funkcjonuje w kryzysie to rozwiązania narodowe. Nie jest to z mojej strony apoteoza tych rozwiązań, ale raczej smutna konstatacja faktów. Brakuje podobnego zdecydowania u polityków unijnych, w obronie obywateli UE i jej granic.

Europa jest pod względem ustrojowym niejako „zawieszona w pół drogi” między państwem europejskim, a grupą powiązanych ze sobą państw członkowskich. Być może, gdybyśmy mieli państwo europejskie i w pełni wykształconą demokrację na tym poziomie to łatwiej byłoby pro-europejskim elitom identyfikować się z interesami obywateli UE. Tymczasem skutkiem tego „zawieszenia” w dobie kryzysów są trzy ważne konsekwencje dla dalszych procesów integracyjnych.

Po pierwsze brakuje odpowiedniej autoryzacji demokratycznej dla działań UE, które mogłyby poprawić skuteczność Unii w kryzysie. Tak było w czasie kłopotów strefy euro, gdzie zabrakło politycznej autoryzacji dla silnego budżetu unijnego niezbędnego dla wprowadzenia działań inwestycyjnych i ochrony socjalnej w najslabszych państwach unii walutowej. Deficyt demokracji w UE jest bodaj największą przyczyną, dla której reakcja Unii jest w kryzysach co najmniej

niewystarczająca. Po drugie, konsekwencją tego „zawieszenia” jest coraz większe ograniczanie przez instytucje i regulacje europejskie władz narodowych. Choć mają one znacznie silniejszy mandat demokratyczny niż instytucje UE to nie zawsze mogą działać zgodnie z wolą wyborców. W czasie kryzysu prowadzi to do rozczarowania przynajmniej części elektoratu do Unii. Trzecia konsekwencja polega na tym, że „rozwiązania europejskie” są najczęściej projektowane i promowane przez największe państwa narodowe. W obu wymienionych kryzysach wiodącą rolę odgrywają Niemcy. W naturalny sposób decydenci tego kraju będą kierowali się przede wszystkim egoizmem własnych wyborców lub elit politycznych, nawet jeśli odbywa się to pod hasłem „rozwiązania europejskiego”. Jeśli takie rozwiązanie nie jest skuteczne, albo przerzuca zbyt wiele kosztów na inne kraje – wtedy pojawia się dodatkowy problem dla procesów integracyjnych.

Kryzysy do tej pory działały w ten sposób, że pobudzały do większej integracji w kierunku jednolitego państwa europejskiego. Jednak kaskada przedłużających się problemów trwających już 8 lat (!) działa tym razem inaczej. Wzmacnia tendencje dezintegracyjne, które w 2016 roku ujawniły się ze szczególną intensywnością.

Źródło: Rzeczpospolita. [Czytaj dalej...](#)